

Piotr Zacccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

6

— A więc, wytłumacz mi kochany doktorze — rzekł z pewnem podnieceniem — dlaczego ta posiadłość, która jest od lat piętnastu do sprzedania, dotąd nie znalazła nabywcy?

— Czy to możliwe? — zawołał Frank.

— Zapytaj pan tego człowieka. — rzekł Lopez, wskazując Paskala.

Służący skłonił się, zaznaczając, że gotów jest dać żądane wyjaśnienia.

— W każdym razie jest to rzecz szczególna — podjął znowu Frank po chwili — Czyżby duchy nawiedziły tę miejscowość? Gdyby nie czas, w którym żyjemy, gotówbym w to uwierzyć.

— W duchy nie, kochany doktorze, ale... — tu Lopez przerwał i spojrzał badawczo po towarzyszach.

— Ale w co? — nalegał Frank niecierpliwie.

— Ale w morderców. — dokończył tamten.

Frank spojrzał z przerażeniem na mówiącego. Żaden z obecnych zaś nie zauważył, że Paskal przybliżył się i śledził ciekawie ich rozmowę.

— W morderców! — powtórzył młody lekarz — Pan wspominał o mordercach?

— Tak jest.

— Czyżby zbrodnia jaka tutaj popełniona została?

— Któż to wiedzieć może?

— Ale mówiono o tem?

— Tak, mówiono. Ale zbrodnię tę dotąd otacza niezgłębiona tajemnica.

— A pan ją zna może?

— Nie.

— Ale przypuszcza pan, że pogłoski te odstraszą dotąd nabywców i odbierają im ochotę kupienia tej posiadłości — czy nie tak?

— Rzeczywiście.

Frank zamyslił się głęboko.

— Tak jest, pan może ma słuszość — rzekł po chwili — to opuszczenie, ten wygląd ponury, wszystko to może nasunąć przypuszczenie, że w miejscu tem popełniono zbrodnię. Wyobrażam sobie, jak tu smutno musi być w nocy, kiedy wiatr szeleści w parku i słychać szum rzeki, płynącej tak blisko.

— Nie chciałby się pan stać nabywcą tego domu, nieprawdaż? — zapytał Lopez.

— Dlaczego nie?

— Niech, nie przecież mieszka się w otoczeniu widm.

— Zbrodniarze tylko mogą się ich lękać, ja nie. — zaśmiał się młody lekarz.

— Ale jednak zaczyna pan wierzyć w istnienie realne zbrodni. — zamyślał Lopez.

— Nie jest to nieprawdopodobnem. Pan zaś tak mówi, jakgdyby przypuszczenie to opierał na pewnych podstawach.

— Być może.

— Wie pan, w tej chwili robi mi pan wrażenie zreżnego romansopisarza. Staje się pan tajemniczy i intrygujący jak koniec rozdziału sensacyjnej powieści i jestem w oczekiwaniu „dalszego ciągu”. No panie Lopez, niechże się pan pozbędzie swojej wstrząsliwości wobec nas i proszę nam zaraz powiedzieć, co pan wie, jeżeli wogóle wie pan coś w tym względzie.

— Pan chce tego naprawdę?

— Proszę pana.

— W takim razie uczynię zadość pańskiej prośbie. — rzekł Lopez

Podczas tej rozmowy baczny obserwator byłby zauważył, że twarz Paskala zachmurzyła się silnie. Z brwią ściągniętą i głębokim marsem na czole zawisł przenikliwym spojrzeniem na ustach Lopeza, łowiąc jego słowa.

Tym obserwatorem był właśnie Lopez, który jednak nie zdając się zwracać uwagi na tę zmianę, podjął dalszą rozmowę tym samym obojętnym i swobodnym tonem.

— Co prawda — rzekł — wiem nie wiele. Przypominam sobie tylko dobrze dzień, w którym ta historia opowiedziana mi została. Wspomnienie, a właściwie data złowroga dla mnie utrwaliła mi ją tak w pamięci, że dotąd zapomniać jej nie mogę.

Miałem brata, do którego gorąco i silnie przywiązany byłem. Wspólne nieszczęścia złą-

czyły nas ściśle ze sobą i tylko śmierć sama mogła nas rozdzielić. Dzień, w którym dowiedziałem się o dramacie w willi Bierre, był dniem śmierci mojego brata, który został zamordowany.

— Co pan mówił — wykrzyknął Frank ze zdumieniem.

— Te dwa wspomnienia tak zwały się następnie ze sobą — ciągnął dalej Lopez — że nie moge je rozłączyć w umyśle moim. Byłem wówczas w Ameryce i właśnie zamierzałem powrócić do Francji, kiedy jednego dnia, przy obiedzie jeden z towarzyszków moich przygodnych padł rażony atakiem apoplektycznym. Nikt z nas bliżej nie znał tego człowieka. Mówił, że jest z pochodzenia Francuzem, a że jedyny z obecnych, mówiłem jego rodzinnym językiem, pierwszy pospieszyłem mu z pomocą. Pomoc ta jednak okazała się bezskuteczną, bo człowiek ten w kilka godzin umarł na moich rękach.

Przekonałem się wówczas, jak chwila śmierci czyni tchórzami najdzielniejszych i wymownych tych, którzy zazwyczaj otaczają się milczeniem. W czasie tych kilku godzin spędzonych przy umierającym usłyszałem najdziwniejsze zwierzenia i zeznania. Ten nieszczęśliwy był współnikiem zbrodni, dokonanej tutaj przed laty i jeżeli nie odkrył mi współwinnych, to obeznał mnie z ważniejszymi okolicznościami tego ponurego dramatu.

— A ten dramat? — zapytał Frank.

— Przedstawia się on bardzo tragicznie. Wyobrażcie sobie panowie noc głęboką, gwałtowne pustych polach dom, zamieszkały przez umierającego starca, przy którym w trwodze i niepokoju czuwają siostrzeńcy. Lękają się oni powrotu niespodziewanego syna, wydziedziczonego na ich korzyść, a nie chcą za żadną cenę, aby ten syn mógł się porozumieć z ojcem przed śmiercią i uzyskać jego przebaczenie. Rozumiecie panowie?

— Niech pan mówi dalej. — szepnął Frank głosem dziwnie wzruszonym.

— Ale około północy, kiedy już czuli, że los pochyla się na ich stronę, ktoś zadzwonił do turtki ogrodowej.

— To był syn?

— Tak, to był syn.

— Przybywał po błogosławieństwo umierającego ojca?

— Ojciec jego żył jeszcze w tej chwili i w tej godzinie ostatniej porozumienie syna z ojcem mogło łatwo nastąpić... ale siostrzeńcy czuwali, aby inaczej się stało. Zdobył, którą dla siebie zachować chcieli, wymykała im się z rąk. Zrozumieli swoje położenie i porozumieli się szybko.

— Ale syn? syn? — zapytał doktor Frank, przesuwając ręką po zbliżeniu czoła.

— Nie wiem nic więcej.

— Jakto?

— Nazajutrz ojciec umarł, a syn zniknął nagle.

— Zamordowali go! — wyrzekł młody podróżny.

— Może.

— Pan mówi może. — zawołał Frank żywo — Ależ zbrodnia jest widoczna! Jestem przekonany, że została popełniona i sprawiedliwość...

— Sprawiedliwość, kochany doktorze — odparł Lopez — działać tylko wówczas może, kiedy ma pewne dowody w ręku, a to, co panu powiedziałem, niema jeszcze w sobie nic konkretnego. Zresztą, tak, jak i pana, tak i mnie nie obchodzi wiele dalszy przebieg tego dramatu. Nie znamy ani tego starca, ani tych dwóch nędzników, o których chodzi i którzy w podstępny sposób zrabowali jego majątek. Zbrodnia została dokonana z niezwykłą zręcznością, skoro winni mogli uciec bezpiecznie. Ale jestem przekonany, panie Frank, że los wcześniej, czy później pomści się na nich.

Mówiąc to Lopez skierował się do domu, chcąc zwiedzić jego wnętrza. Młody nieznajomy i Frank towarzyszyli mu. Na każdym z nich opowiadanie Lopeza odmienne uczyniło wrażenie. Głęboko zamysleni szli po schodach, prowadzących na werandę, nie mówiąc nic do siebie.

Co zaś do Paskala, to zaszła w nim widoczna zmiana.

Nie stracił ani jednego słowa z opowiadania Lopeza, przypatrując mu się uporczywie i badawczo, starając się ukryć zmieszanie, jakie go nagle ogarnęło.

W chwili, kiedy Lopez wstępował po schodach, myśl jakaś okropna zajaśniała w jego po-

nurach oczach. Po twarzy jego przebiegł wyraz strasznej nienawiści i wściekłości. Zaciśnął konwulsyjnie dłoń i już gotował się do skoku, chcąc rzucić się na niedyskretnego opowiadacza, kiedy nagle zatrzymał się i odetchnął głęboko, przesuwając ręką po czole.

Paskal należał do ludzi odważnych, zdecydowanych na wszystko. Tym razem nie powstrzymała go więc obawa lub tchórzostwo, lecz pomyślał nagle, że ten człowiek musiał wiedzieć coś więcej jeszcze — więc należało czekać i obserwować go pilnie.

Przeгляд mieszkania odbył się szybko i w milczeniu. Zdawało się, że każdy ze zwiedzających pragnie jaknajprędzej oddalić się z tych miejsc, na których ciążyły tak przykre wspomnienia.

W pół godziny później Frank z towarzyszami wychodził z willi Bierres, kierując się do powozu oczekującego przy furtce ogrodowej.

Młody lekarz był bardzo przygnębiony — Lopez zaś zachował swoją zwykłą swobodę i obojętność.

Kiedy mieli już wsiadać do powozu, młody podróżny zwrócił się do Franka i rzekł uprzejmie, podając mu rękę.

— Panie doktorze, nie spodziewałem się, zdając tutaj, znaleźć tak sympatyczne towarzyswo. Wyniosę bardzo miłe wspomnienie z tych odwiedzin. Pozwoli więc pan, że zanim się oddalę, wyrażę całą sympatię, jaką pan we mnie obudził.

Frank uściśnął gorąco jego rękę.

— Dziękuję panu! — rzekł serdecznie — Znamy się dopiero od godziny, ale jeżeli pan równie tak gorąco sobie życzy jak ja, to, zdaje się, nie porzestaniemy na tem i spotkamy się jeszcze — nieprawdaż?

Twarz nieznajomego rozjaśniła się radością.

— Do widzenia więc, panie Frank! — zawołał, kłaniając się — Do widzenia.

Młody człowiek skoczył lekko do powozu i wkrótce znikł z przed oczu pozostałych, którzy w kilka chwil później odjechali swoim powozem w stronę Paryża.

— Szczególny człowiek! — odezwał się Frank po dłuższej chwili milczenia.

— Rzeczywiście! — odparł w zamyśleniu Lopez.

— Czy pan go nie zna?

— Widziałem go dziesiąt po raz pierwszy.

— A jednakże zdaje się, że on nas znał — zauważył młody lekarz.

— To właśnie intryguje mnie dosyć.

— Ach! Zresztą, co mi na tem zależyl — rzekł Frank — Pomimo tajemnicy, jaką się otacza, wywołał wielką moją sympatię i jestem gotów zaprzyjrzeć się z nim.

Lopez spoważniał nagle.

— Niech się pan strzeżel — rzekł, patrząc niespokojnie na towarzysza.

— Dlaczego?

— Niemożna tak lekkomyślnie rzucać się na szyję pierwszego napotkanego człowieka.

— Jestem tak samotny! — westchnął Frank smutnie — Gdyby pan wiedział, jakie straszne nieszczęście wstrząsnęło mojem życiem!

— Nie wiedziałem o tem!

— To opowiadanie pana przed chwilą ogromnie mnie wzburzyło... Ta zbrodnia... to morderstwo... Ale pan tego zrozumieć nie może...

— Czy nie może mi pan tego wyjaśnić? — zapytał Lopez z zainteresowaniem.

Silne wzruszenie ogarnęło Franka. Słowa gwałtownie cisnęły mu się na usta, ale powodowany jakąś resztką podejrzliwości, nie śmiał ich wymówić. Wkrótce jednak wzruszenie stało się silniejsze od jego woli, bo wybuchnął nagle zdławionym głosem:

— Ach! Nędznicy! Zamordowali go, aby go obrabować z majątku!

— Kogo? — zapytał Lopez, udając zdziwienie.

— Mojego ojca!

— Co pan mówi?

— Tak panie! Ta historia, którą nam pan opowiedział tam we willi, to dzieje mojego ojca. Przybywał właśnie do Francji po długiej nieobecności, aby uzyskać przebaczenie i błogosławieństwo ojca swojego, a ci nędznicy zamordowali go! Och! Jestem teraz tego pewny!

Lopez spojrzał uważnie na niego.

— A więc — wyrzekł wolno i dobitnie — ojciec pana zniknął bez śladu, czy tak? I pan nie czynił żadnych poszukiwań w tym kierunku?

Frank ze zniechęceniem wzruszył ramionami.

— Owszem — odparł zgnębionym głosem —